

PIERWSZE NA ŚWIECIE WYDANIE
KSIĄŻKI AUTORA BESTSELLEROWEGO
STULECIA CHIRURGÓW

JÜRGEN
THORWALD
GINEKOLOGIZY



Książka, która trafia w Państwa ręce, nie tylko w takiej postaci nigdy się na świecie nie ukazała, ale też powstawała w burzliwym okresie.

Na początku lat siedemdziesiątych minionego wieku – w efekcie reformy prawa karnego w RFN – rozgorzała publiczna dyskusja na temat prawnych regulacji przerywania ciąży. Podczas gdy środowiska związane z Kościołem żądały całkowitej ochrony płodu, część ruchu wyzwolenia kobiet optowała za wykreśleniem paragrafu 218 z kodeksu karnego.

Na płaszczyźnie politycznej w Bundestagu starły się ze sobą dwa obozy: prawicowa frakcja CDU/CSU opowiadała się za „regulacją wskazań” do przerywania ciąży. Aborcja byłaby możliwa wyłącznie w określonych przypadkach medycznych (na przykład przy zagrożeniu życia matki) lub etycznych (na przykład w przypadku gwałtu). Partie SPD i FDP opowiadały się za legalną aborcją na życzenie do dwunastego tygodnia ciąży. W kwietniu 1976 roku odbyło się głosowanie, w wyni-

Die Frauenärzte

COPYRIGHT © VERLAGSGRUPPE DROEMER KNAUR GMBH & CO KG, MÜNCHEN

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Wziątek

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,

WARSZAWA 2016

ku którego niewielką większością głosów zwyciężyła opcja SPD/FDP. Ustawa nie zdążyła jednak wejść w życie, ponieważ CDU zaskarżyła ją do Trybunału Konstytucyjnego i rok później ustawa została uznana za sprzeczną z konstytucją. W maju 1976 roku Bundestag przyjął nowelizację kodeksu karnego, która dopuszczała usunięcie ciąży ze względów medycznych, kryminalnych, społecznych i eugenicznych. W 1973 roku, w samym środku narodowej dyskusji, Jürgen Thorwald pisał: „Gdyby niektórzy ginekolodzy – którzy w tych dniach ponownie otwierają śluzę moralności bądź etyki i sprzeciwiają się dopasowaniu paragrafu 218 do współczesnego i przyszłego świata – wyciągnęli wnioski z historii, to wiedzieliby, że w najbliższej przyszłości ich postawa będzie oceniona jako niezyciowa, skostniała i niezrozumiała, tak samo jak ich poprzedników”.

Wydanie *Ginekologów* – artykuły początkowo publikował tygodnik „Der Stern”, a później także „Los Angeles Times” – planowano na czas najgorętszej dyskusji, wydawca wietrzył wręcz „bombowy interes”, tymczasem Thorwald zajął się inną książką. Autor zawsze pracował nad kilkoma projektami jednocześnie, a niektóre z nich nie zostały doprowadzone do końca, ponieważ inne tematy stawały się w międzyczasie ważniejsze. Na początku lat osiemdziesiątych wrócił do *Ginekologów*, ale aż do swojej śmierci w 2006 roku nie przygotował ich do druku. Thorwald nigdy nie był zadowolony z efektów swojej pracy, zawsze chciał coś poprawiać, dlatego niektóre z jego planów książkowych nie doszły do skutku. Część tekstów z *Ginekologów* – jako przysługa dla ówczesnego związku wydawców książek (Bücherbund-Verleger) – ukazała się w 1982 roku jedynie jako wydanie klubowe.

Podobnie jak w przypadku poprzednich książek o tematyce medycznej, Thorwald korzystał z pomocy grupy współpracowników. Tym razem do zespołu należeli dwaj amerykańscy reporterzy, były funkcjonariusz hamburskiej policji kryminalnej, mający dobre stosunki z policją francuską, oraz lekarz z Bawarii. Czasami dużo informacji wносиły przypadkowe spotkania. Pewien radziecki student przekazał mu przez kapitana, który przyplłynął do Hamburga, wszystkie materiały konferencyjne i wystąpienia profesorów z pierwszego procesu aborcyjnego z Kijowa, jaki miał miejsce w 1927 roku. Węgierska tłumaczka książek Thorwalda dostarczyła mu wszelkich dostępnych informacji na temat słynnego ginekologa Semmelweissa: od biografii i wykładów po opis jego domu i drogi, którą codziennie chodził do kliniki.

Czasy, kiedy Thorwald podziwiał pionierów medycyny, a samą historię medycyny opisywał jako pasmo wielkich osiągnięć, już minęły. Pisał: „*Ginekolodzy* będą książką prowokacyjną. Opowiada ona o brutalności wielu lekarzy, ich wrogości do kobiet, kulcie macicy, któremu się oddawali, nawet jeśli kobieta musiała umrzeć z tego powodu”.

WPROWADZENIE HISTORYCZNE
- PROF. AMBROISE PARÉ, JAMES P. WHITE

Ludzie, którzy nie czują szacunku dla medycyny, nazywają ich damskimi rzeźnikami. Romantyczni patrioci oraz żarliwi chrześcijanie sławili ich niegdyś (i być może robią to do dziś) jako stróżów najcenniejszego dobra narodu. Dla młodych, gniewnych kobiet, żądających prawa do samostanowienia o własnym brzuchu i aborcji, są tylko „akuszerami przeludnienia”, którzy „zbyt długo majstrowali przy macicach i wydobywali z nich potomstwo, nie wiedząc, że kiedyś świat się nim udławi”. Medycyna określa ich dumnie mianem ginekologów i położników. Przez zwykłych obywateli nazywani są po prostu lekarzami od spraw kobiecych.

W Niemczech jest ich ponad cztery tysiące, a na całym świecie około dziewięćdziesięciu tysięcy. Tworzą pokaźną armię uzbrojoną w kleszcze porodowe, łyżeczki chirurgiczne, skalpele, pesaria, hormony i fotele ginekologiczne. I jak każde wojsko dzieli się na szeregowców, oficerów i generałów. Szeregowcy to praktycy mający do dyspozycji kilka łóżek w pomniejszych szpitalach. Do kadry oficerskiej należą ordynato-

rzy oddziałów ginekologicznych i położniczych w większych placówkach. Są ulubionymi bohaterami powieści o lekarzach. Generałowie obejmują katedry ginekologii na uniwersytetach lub zajmują stanowiska prezesów stowarzyszeń ginekologicznych i sterują grupami interesu na całym świecie.

W Republice Federalnej Niemiec jest dwadzieścia osiem katedr dla ginekologów-generałów. Profesor ginekologii Walter Stoeckel, który – zanim jako dziewięćdziesięciolatek pożegnał się w 1961 roku z tym światem – przez równych sobie rangą uważany był za orła w swoim fachu; to on mówił o ginekologicznych „tronach królewskich i cesarskich”. A musiał wiedzieć, o czym mówi, bo zanim w 1926 roku wstąpił na cesarski tron uniwersyteckiej kliniki położniczej przy Artilleriestrasse w Berlinie, jego władza rozciągała się od Kilonii do Marburga – w tak wielu „królestwach”, że zastanawiano się, jak znajdował czas na operacje, odbieranie porodów i – jako wzór stróża najcenniejszego dobra narodowego – spłodzenie siedmiorga dzieci.

Zasiadający na takich ginekologicznych tronach wyznaczają kierunek leczenia kobiet na całym świecie. Przeważnie są to ultra- bądź umiarkowani konserwatyści. Kiedy toczą ze sobą spory akademickie, dyskusja odbywa się w wyważonym stylu, jak jest przyjęte wśród wytwornych członków elitarnych klubów międzynarodowych, którym się powiodło w życiu. Nie zawsze jednak tak było.

Jeszcze nie tak dawno ginekolodzy prowadzili niestosowną wojnę o to, kto najszybciej wyciął mięśniaka wraz z macicą i kto ustanowił rekord szybkości w 1880, 1890 czy w 1900 roku. Czy był to August Martin, mistrz ginekologii w Berlinie, ważący ponad sto pięćdziesiąt kilogramów, przez przeciwni-

ków nazywany krwawym Augustem, który w swojej prywatnej klinice przy Elsässer Strasse w ciągu zaledwie siedmiu i pół minuty usunął macicę? Czy może pochodzący z Paryża Jules-Émile Péan, który miał zwyczaj operować we fraku, honoraria negocjował przy stole i z miejsca zapominał o narkozie, gdy cena wydała mu się nie dość wysoka? Może młodszy, współczesny Péanowi paryżanin Eugène-Louis Doyen, o którym mówiono, że całą sprawę załatwia zaledwie w sześć minut i każe asystentowi mierzyć czas? A może jednak rekord pobił już dwadzieścia lat wcześniej Anglik Isaak Baker-Brown, któremu podobno udało się tego dokonać w pięć minut?

Z biegiem czasu okazało się, że wzbudzące zachwyty operacje chirurgiczne i sprawne posługiwanie się skalpelem bardziej służyły sławie ginekologów niż zdrowiu pacjentek, które zbyt często, mimo uwieńczonych sukcesem zabiegów, trafiały na cmentarze.

Był też czas, kiedy w skład akademickiego arsenału ginekologów wchodził termin „morderca”. Wyzwiska były jeszcze względnie łagodne, kiedy około 1800 roku Europa podzieliła się na dwa ginekologiczne obozy; pod dowództwem Friedricha Benjamina Osiandera, króla „domu rodzenia” w Getyndze, i Karla Baera, władcy oddziału porodowego szpitala Allgemeines Krankenhaus w Wiedniu. Osiander twierdził, że porody należy odbierać szybko, jeśli zajdzie taka potrzeba, to nawet z użyciem kleszczy. Na dwadzieścia pięć porodów jedenaście przyjmował z pomocą tego narzędzia; w konsekwencji pozostawił za sobą rzeszę dzieci z uszkodzeniami mózgu. Głosił przy tym, że kto nie nauczy się sztuki położnictwa w Getyndze, ten nigdzie na świecie jej nie pojmie. Baer natomiast opowiadał się za możliwie najnaturalniejszym poro-

dem, posyłając „zakleszczonego Benjamina” do wszystkich diabłów.

Słowo „morderca” padło po raz pierwszy w 1861 roku, kiedy Ignaz Semmelweiss, profesor położnictwa w Budapeszcie, publicznie zaatakował Scanzoniego, kolegę po fachu z Würzburga, za to, iż ten lekceważył jego słuszne (jak dzisiaj wiemy) poglądy na temat zakażeń połogowych, czym spowodował (wraz z innymi, obawiającymi się wszelkich innowacji położnikami) śmierć dziesiątek tysięcy matek.

Niebezpiecznym rzeźnikiem nazywano też Lawsona Taita, szalonego ginekologa z Birminghamu, który miał w zwyczaju brać lancet w zęby. W roku 1877 po raz pierwszy uratował życie kobiety będącej w ciąży pozamacicznej, wykonując oczywiście dziś zabieg.

Spór dotyczył także kwestii, które spośród wielu wynalezionych w latach 1880–1914 okropnych pesariów: z gumy, szkła, żelaza, drewna czy skóry (umieszczano je w pochwach kobiet w celu podniesienia przemieszczonych macic), jest najlepsze. W konsekwencji jedni ginekolodzy zbijali majątek na wstawianiu krążków, inni na ich usuwaniu.

Tymi uwagami wyprzedzamy nieco naszą opowieść. Jednak pozwalają one dostrzec przepaść dzielącą ginekologów z tamtych i obecnych czasów. Trzeba nadto wiedzieć, że ich przodkowie, twórcy ginekologii, nie położyli fundamentów pod swoją specjalność tak jak inni lekarze już przed tysiącami lat, lecz zainteresowali się kobiecym brzuchem dopiero dwieście pięćdziesiąt lat temu. Było to odkrycie, które wstrząsnęło posadami chrześcijańsko-monarchistyczno-mieszcząńskiego świata.

Nie bez powodu gorliwi teologowie wczesnego chrześcijaństwa wywnioskowali z historii o Adamie i Ewie, iż podbrzusze kobiety jest siedzibą zła. Nie bez powodu głosili naukę o tym, że powtórzenie grzechu pierworodnego, to znaczy każdy rodzaj seksu i żądy, zasługuje na potępienie; i tylko wtedy można go usprawiedliwić, gdy służy prokreacji (w sensie boskiego „rozmnażajcie się”) – i to też w miarę możliwości bez ulegania pożądaniu. Nie bez powodu Orygenes, jeden z Ojców Kościoła, wysnuł w III wieku n.e. teorię o duszy płodów i – żywiąc pogardę do z natury grzesznej kobiety – pouczał, iż w każdym przypadku trudnego porodu można poświęcić matkę – ale dziecko musi przyjść na świat i zostać ochrzczone, w przeciwnym razie jego dusza będzie skazana na wieczne potępienie.

Przez wieki absolutnego panowania Kościoła żaden lekarz nie dotknął nagiej kobiety i jej grzesznego podbrzusza, nie wszedł do izby porodowej. Hamburgczyk Veit Völsch, nazywany doktorem Veitem, który spróbował tego w damskim przebraniu, został spalony na stosie. Znikoma wiedza o kobietach i porodzie przedchrześcijańskich i pogańskich lekarzy, od Hipokratesa (ok. 400 roku p.n.e.) po Galena (129–199 rok n.e.), została zamknięta w bibliotekach klasztornych.

Zgodnie z ówczesnym wyobrażeniem o wnętrzu niewieściego ciała macica składała się z wielu przegród, połączonych kanałami z jamą ustną i piersiami. Przez owe kanały płynęły mleko i powietrze. W roku 1280 kolońscy duchowni ustalili, że usta kobiety, która zmarła przy porodzie, należy utrzymywać otwarte za pomocą kawałka drewna, aby zapewnić dziecku dostęp do powietrza, dopóki nie zostanie wycięte i ochrzczone. Do niesienia pomocy podczas porodu

(włącznie z wycięciem dziecka z brzucha martwej matki) były uprawnione wyłącznie kobiety, które już rodziły. Nazywane akuszerkami, chodziły od domu do domu – często za zgodą biskupów – z krzesłami położniczymi, niedomyte i nie mając żadnej wiedzy o anatomii człowieka (a porody przecież brudziły).

W roku 1513, po piętnastu wiekach pozostawiania rodzących samym sobie i partactwa akuszerek, wydano pierwszy i jedyny podręcznik dla asystujących przy narodzinach: *Rosengarten für schwangere Frauen und Hebammen* [Ogród różany dla ciężarnych kobiet i akuszerek] Euchariusza Rösslina – i był to zbiór zabobonnych farmazonów.

Jeżeli poród nie mógł się odbyć całkowicie naturalnie, kobiety nadal umierały lub do kresu swoich dni żyły z porazywanymi pochwami, krociami i odrażającymi przetokami między pęcherzem moczowym, odbytem a pochwą, których nikt nie potrafił zszyć. Do cierpiących ciężarnych, nieprzestrzegających nakazów kościelnych, powodowane litością akuszerki wzywały potajemnie chirurgów mężczyzn. Ci próbowali miażdżyć główki zakleszczonych dzieci za pomocą metalowych haków, wiertel i noży, wyciągać ich ciała po kawałku i w ten sposób ratować matki. Ale tam, gdzie rozciągała się władza Kościoła, szybko rezygnowali ze swoich krwawych praktyk.

Jeszcze w 1595 roku pobożny Johann Hiltprand oskarżył akuszerki, że „uśmiercają owoc niecznymi rękami, przez co niewinne dzieciątka pozbawiane są świętego sakramentu chrztu”. Ówczesne położne nadal pozwalały umierać matkom, a ponieważ bały się dokonać cięcia w ciebie, to starały się natartymi zjełczałym olejem dłońmi wyciągnąć przynajmniej

dziecięcą rączkę lub nóżkę, aby skropić je wodą i wyrecytować chrzcielną formułkę. Albo wsuwały długą, najczęściej zardzewiałą końcówkę przygotowanej w tym celu specjalnej strzykawki w narządy rodne, aby spryskać głowę i ciało nie-narodzonego, zanim umrze wraz z matką. Niezliczone kobiety przechodzące ciężki poród, które być może przeżyłyby wraz z dziećmi, umierały przez strach akuszerki przed karą i potępieniem, niecierpliwość, brudne strzykawki i skażoną wodę. (Dopiero w 1901 roku dekretem Stolicy Apostolskiej zezwolono na sterylizację wody święconej sublimatem).

Czyżby pionierzy ginekologii byli prawdziwymi bohaterami nielekającymi się nieba i piekła, Kościoła i czyścica, i robili wszystko, aby tylko pomóc udręczonym niewiastom? Wyglądałoby to pięknie w księdze o heroicznych czynach ginekologów.

Być może dałoby się odkryć u niektórych z nich jakieś cechy bohaterów. Na przykład u Ambroise'a Parègo, francuskiego chirurga wojskowego z czasów odrodzenia, które wreszcie ukroczyło totalny gwałt zadawany rozumowi przez Kościół, w XV i XVI wieku wydając na świat takie znakomitości jak Leonardo da Vinci czy Wesaliusz. Oni to po raz pierwszy otworzyli ludzkie ciała, aby wyrobić sobie zdanie o prawdziwej budowie anatomicznej człowieka.

Około 1540 roku w śmierdzącym paryskim szpitalu Hôtel Dieu (Boże Schronisko), przepelnionym pozbawionymi środków do życia nędzarni, Parè znalazł między chorymi żołnierzami rodzącą na podłodze kobietę, która umierała. W chaosie nikt nie troszczył się o grzech i nagość, i dzięki temu Parè odkrył, że można włożyć naoliwioną dłoń w macicę i obrócić zakleszczone dziecko w taki sposób, aby wy-

ciągnąć je za stopy. Owe spostrzeżenia przekazał swojemu uczniowi Jacques'owi Guillemeau.

Guillemeau, lekarz przyboczny trzech królów francuskich, wykonał niejedyn taki obrót u wytwornych dam dworu i arystokracji, a następnie spisał swoje doświadczenia. Jednak zarówno on, jak i jego następca François Mauriceau, który w latach 1660–1700 pracował w Paryżu jako pierwszy położnik, zawsze kazali sobie zawiązywać oczy, zanim weszli do pokoju ciążarnej. Położenie dziecka zmieniali po omacku pod kołdrą, aby nie złamać tabu nagości kobiety. Poród studiowali na sztucznych miednicach i macicach ze skóry i kości, pracowali na lalkach, a w późniejszych czasach na zabalsamowanych zwłokach niemowląt. Mając znikomą wiedzę merytoryczną, wierzyli w połączenie żeńskiej i męskiej spermy podczas aktu prokreacji. Nigdy natomiast nie zapominali o okazywaniu rewerencji wciąż jeszcze potężnemu Kościołowi. Mauriceau twierdził, że krzyk nowo narodzonego brzmi jak „O.E.”, czyli: „O, Ewo, dlaczego przywiodłaś naszego praojca do grzechu...?”.

Heroizm prekursorów ginekologii stoi zatem pod znakiem zapytania. I można powątpiewać, czy w ogóle położnictwem zajęliby się mężczyźni, gdyby nie to, że około 1700 roku doszło do dwóch zdarzeń, które nie miały nic wspólnego z bohaterскими czynami, za to dużo z zachłannością na pieniądze i seksualnością.

W roku 1668 roku „Król Słońce” Ludwik XIV (z jednej strony przychylny Kościołowi, z drugiej całkowicie oddany żądom cielesnym), odkrył, że obserwowanie z za zasłony rodzących kochanek wywołuje u niego tak silne erekcje, iż natychmiast wzywał kolejną, jeszcze niebrzemioną metresę, by się z nią zabawić. Aby móc lepiej widzieć podbrzusze

rodzącej, wydał rozkaz, by usunięto krzesło porodowe. Od tej pory damy wydawały potomstwo na świat, leżąc na łożku.

Gdy dzięki swojemu przybocznemu lekarzowi Król Słońce dowiedział się, że pewien akuszer o nazwisku Julius Clément cieszy się w Paryżu bardziej lub mniej potajemną sławą, rozkazał sprowadzić go (jako dodatkową podniętę) do pierwszego porodu swojej metresy, markizy de Montespan. Clément zjawił się z zawiązanymi oczami, tak jak nakazywała obyczajność, podczas gdy król rozkoszował się przebiegiem zdarzenia z za zasłony. Ponieważ Clémenta coraz częściej wzywano do porodów na dworze, chętna do naśladowania arystokracją Francji podchwyciła pomysł akuszerów i rozwiązania w łożku. Zawód akuszerza stał się modny, a Kościołowi nie starczyło już władzy, aby zdusić tę modę w zarodku.

Drugie wydarzenie miało miejsce w Anglii i Niderlandach.

Okolo 1730 roku sławę zyskały kleszcze porodowe – jako skuteczne narzędzie w trudnych przypadkach. Opinia publiczna dowiedziała się wówczas, że tak naprawdę posługiwano się nimi już od 1560 roku. Skonstruowała je rodzina pozbawionych wszelkich skrupułów osiadłych w Wielkiej Brytanii chirurgów Chamberlinów (ojciec, syn i wnuk) i niemal przez dwa stulecia stosowała potajemnie u bogaczy Anglii, Francji i Niderlandów za bajońskie sumy. Teraz ich tajemnica wyszła na jaw, a chirurdzy umiejący posługiwać się kleszczami wkroczyli do pokoi porodowych. Czy było to triumfalne wejście, godne odnotowania w księdze heroicznych czynów lekarzy? Nie, było żałosne.

Pierwszym ginekologom atakowanym przez duchownych i akuszerki, które widziały w nich zagrożenie dla swojego fa-

chu, przyświecała tylko jedna myśl: nie wywoływać zgorzenia moralnego. Wielu wczło giwało się na czworakach do pokoju rodzącej – nie wychylając się ponad wysokość łóżka – aby jej nie zobaczyć. Nadal praktykowali albo z zawiązanymi oczami i w zaciemnionych pomieszczeniach, albo obwiązywali sobie szyję jednym końcem kołdry jak serwetą, podczas gdy ich ramiona i dłonie pracowały pod przykryciem, a niewieście łono było chronione przed ich spojrzeniami. Tak zaczęli wszyscy prekursorzy ginekologii: Johann Jakob Fried w Strasburgu (1689–1769), Jean-Louis Baudeloque w Paryżu (1746–1810), William Smellie w Londynie (1697–1763), William Shippen (1730–1808) czy Charles D. Meiss (1792–1869) w Filadelfii.

Doktor Meiss próbował przekonać swoich wrogów do idei, jakoby mężczyźni mieli przyzwolenie od samego Boga na pomaganie przy porodzie: „Pierwsza kobieta musiała być skazana na męską pomoc w tych trudnych godzinach, ponieważ Ewa nie mogła mieć innych pomocników oprócz Adama”. Takie argumenty jednak nie na wiele się zdały. Ojcowie założyciele pozostawali niewolnikami obyczajowości swoich czasów, a walka o obnażenie rodzących i chorych kobiet trwała przez całe sto pięćdziesiąt lat.

Lekarze chorób kobiecych – świadomie bądź nie – nigdy nie zapomnieli o początkach ginekologii. Zasłyszane historie zasiały w nich niepokój, że wprowadzając jakiegokolwiek innowacje, mogą wywołać zgorzenie w społeczeństwie. Stanowiły źródło konserwatyzmu – budzącego opór wobec wszystkiego, co nowe i nietypowe – jaki charakteryzuje większość czołowych reprezentantów tej dyscypliny, a także uprawiających ją medyków. Konserwatyzm kwitnie w tym środowisku także dzisiaj. Tak to już jest.

Jeżeli z tej wycieczki w przeszłość powrócimy znów do teraźniejszości, to z pewnością zrozumiemy, że tamci – czołgający się na czworakach – położnicy zrobili tymczasem wielką karierę.

Międzynarodowe bractwo ginekologów mogłoby dzisiaj świecić nieskazitelnym blaskiem, gdyby nie to, że w drugiej połowie XIX wieku rozpoczął się pewien trend, który zagroził przyszłości lekarskiej kasty, jej ustalonym w ciągu dwustu pięćdziesięciu lat regułom i etyce. Złośliwość historii polega na tym, że za ową modą stoją te, które zawdzięczają ginekologom uwolnienie od średniowiecznego piekła porodu i dla których zdrowia, długości życia i płodności medycy nie szczędzą wysiłków – kobiety.

Zbuntowane przywódczynie tych samych kobiet, które niegdyś nie pozwalały się dotknąć nagie, oponują dziś przeciw wszystkiemu, co dla ginekologów święte. Szydzą z ich tradycyjnych zasad, które w 1861 roku ujął w słowa profesor Eduard Caspar von Siebold, następca Benjamina Osiandera w getyńskim domu rodzenia: „Natura wyznaczyła płęć żeńską do poczęcia, urodzenia i wychowywania dziecka. Byt niewiasty jest poświęcony rozmnażaniu i utrzymaniu rodzaju ludzkiego. Te ciasne granice wyznaczyła paniom... natura”.

Kobiety kiwają głowami nad swoimi matkami, babciami i prababciami, które zbyt ufnie (bądź bezbronne) podporządkowały się takim regułom. I wysuwają szokujące żądania, aby rządy, Kościoły i ginekolodzy po dwustu pięćdziesięciu latach zaprzestali czuwania nad „właściwym” wykorzystaniem macic przez kobiety. Domagają się prawa do własnej seksualności bez przymusu rozmnażania. Słowo „orgazm” wypo-

wiadają bez rumieńca wstydu. Chcą, by lekarze od spraw kobiecych zajmowali się zaburzeniami narządów rozkoszy oraz regulowaniem poczęć i ciąży za pomocą spirali, wkładek domacicznych czy pigułek.

Jednak najbardziej niechlubnym pojęciem w dziejach ginekologii jest termin „aborcja”. Ginekolodzy, składając przysięgę, że będą wspomagać narodziny i nowe życie, a nie im zapobiegać, uzyskali najpierw przyzwolenie na uprawianie własnej sztuki, a z czasem uznanie Kościoła i państwa w nieprzeludnionym jeszcze świecie.

Dewizy dawnych mistrzów ginekologii – jak Maxa Sängera (pioniera cesarskiego cięcia, w latach 1880–1908 profesora w Lipsku i Pradze): „Mażeńskie pożycie seksualne nic nas, lekarzy, nie obchodzi” – budzą dzisiaj już tylko szyderczy śmiech aktywistek. Działaczki te nie rozumieją faktu historycznego, że podobne wypowiedzi ukształtowały postawę wielu pokoleń lekarzy nazywających się ginekologami.

Jakby tego było mało: buntowniczkami od lat żądają możliwości regulacji urodzeń również w sytuacjach, gdy zawodzi antykoncepcja. To jednak oznacza przerwanie ciąży i dotyka do żywego każdego odpowiedzialnego ginekologa kultywującego tradycyjną etykę zawodową.

Jeżeli patrzeć na sprawę w ten sposób, trzeba przyznać, że od 1972 roku lekarze chorób kobiecych rzeczywiście mają kłopot z dopasowaniem się do współczesności. Nie należy jednak tych problemów przeceniać. W przeszłości ginekolodzy musieli podejmować znacznie trudniejsze wyzwania. Ostatecznie zawsze układali się z silniejszymi, z tymi, którzy stawiali na swoim, ponieważ się nie poddawali.

Jednym z tych, którzy się nie poddawali, był James P. White, profesor położnictwa w amerykańskim Buffalo. W roku 1849 doszedł do przekonania, że już wystarczająco długo majstrowano po omacku pod kołdrami, rujnując zdrowie kobiet. 19 stycznia 1850 roku profesor położył na stole w sali wykładowej młodą Irlandkę Mary Watson (z „białymi udami i lśniąco rudymi włosami łonowymi”). Odebrał pokazowy poród dla „jedenastu najdojrzszych studentów – bez całkowitej zasłony”.

W odpowiedzi na ten bezprecedensowy krok członkowie kasty ginekologicznej na całym świecie chcieli usmażyć White’a w ogniu piekielnym za wykroczenia przeciw etyce i moralności. Zaprzeczali zgodnie, jakoby naoczna kontrola miała jakiegokolwiek znaczenie dla zabiegów na niewieścim ciele. Z biegiem czasu – dla dobra kobiet i całego lekarskiego świata – doszli jednak do porozumienia nie tylko z tymi, którzy chcieli widzieć, co robią, lecz również sprawili, że to, co wcześniej wydawało się niewyobrażalne, stało się faktem.

POCZĄTKI GINEKOLOGII
- ROBERT LATOU DICKINSON,
WILLIAM SMELLIE,
BENJAMIN OSIANDER,
EDUARD CASPAR VON SIEBOLD

Robert Latou Dickinson był wyjątkowym mężczyzną i ginekologiem. Mówi się, że lekarze chorób kobiecych doczekują późnej starości. Dożywają siedemdziesiątki i osiemdziesiątki jakby nieśpiesznie. Kpiarze tłumaczą ten fenomen „licznymi dawkami uderzeniowymi hormonów na widok kobiecych wdzięków”. Wszystko jedno: Robert Latou Dickinson z Nowego Jorku, profesor ginekologii w Long Island College Hospital, dożył dziewięćdziesiątki, a po osiemdziesiątce ten *homme des femmes* skakał na główkę – tyłem! – na brooklyńskich basenach.

Z natury był upartym twardzielem. Jako młodzieniec rozciął sobie brzuch podczas nurkowania w górskiej rzece. Pod ręką miał tylko szewca, który zszyl otwartą ranę. Demonstrację sztuki rzemieślniczej zniósł gładko. Odporność Dickinsona okazała się decydująca dla jego późniejszej kariery: mimo że był pobożnym członkiem Kościoła episkopalnego, układającym własne modlitwy, w przeciwieństwie do większości kolegów po fachu nigdy

nie bał się zajmować nawet najbardziej „nagimi faktami” życia niewiast.

Doktora Williama Mastersa i Virginii Johnson z Washington University School of Medicine, którzy za pomocą sztucznych penisów i urządzeń elektronicznych badali w 1966 roku reakcje seksualne kobiet, zyskując uznanie całego świata, nie było jeszcze na świecie, kiedy Dickinson eksperymentował w swoim gabinecie ze szklanymi członkami męskimi, aby przyrzeć się procesom zachodzącym w pochwie podczas stosunku płciowego. Stwierdził, że kobiety w 1900 roku na skutek noszenia długich sukien i hałek odczuwały więcej naturalnych potrzeb seksualnych, niż chcieli im przyznać ówcześni duchowni, mężowie i ginekolodzy. Dowiedział się, że nie tylko macierzyństwo, ale także zaspokojenie seksualne jest dla kobiety ważną częścią życia i zdrowia, i mówił o tym głośno i wyraźnie. Miało to, oczywiście, pewne następstwa.

Nowojorskie Towarzystwo Ginekologiczne zmusiło Dickinsona do wycofania raportów o żelu antykoncepcyjnym, który wypróbował w 1918 roku, uznając je za nieobyczajne. Osiemdziesiąt procent amerykańskich ginekologów obróciło się przeciwko niemu – mimo że kiedyś wybrali go na prezesa swojego towarzystwa – gdy w 1943 roku jako pierwszy zastosował tampony u pacjentek. Jego oponenci uzasadniali swoje stanowisko twierdzeniem, jakoby tampony miały niszczyć dowody dziewictwa u młodych niewiast.

Przez lata pracy Robert Latou zdobył bogate doświadczenie z kobietami, moralnością i swoimi kolegami po fachu. A ponieważ znał się na rzeczy, to zanim zmarł w 1950 roku, dożywszy dziewięćdziesiątki (uprzednio kazał rozsypać swoje

prochy nad rzeką Hudson), zdążył wypowiedzieć znamienne słowa:

Czytałem dzisiaj statystykę, według której siedemdziesiąt pięć procent kobiet zdejmuje ubranie i bieliznę, nie czując wstydu, kiedy siada w fotelu ginekologicznym. Za kilka lat będzie ich dziewięćdziesiąt procent. Proszę jednak nie zapominać, że doszło do tego zbyt późno i że można by wypełnić całe cmentarze kobietami i dziećmi, które zmarły dlatego, że za długo i za często podporządkowywaliśmy lekarskie zadania dyktatowi tak zwanej moralności publicznej. Dorastałem jeszcze w czasach, kiedy nasi mistrzowie napominali nas, że mamy dopilnować, aby do badań ginekologicznych kobiety nie rozbierały się, lecz ubierały. Wkładały specjalne spodnie, a my wsuwaliśmy palce lub narzędzia przez specjalne rozporoki. Ten tragiczny żart trwał dwieście lat..

Rzeczywiście, przez okres dwustu lat lekarze chorób kobiecych kwestii nagości unikali jak ognia.

Prekursorzy ginekologii z roku 1750 i 1800, którzy wchodziłi się do sal chorych z przewiazanymi oczyma, byli tak szczęśliwi, mogąc po jakimś czasie zdjąć przepaski, podczas gdy ich dłonie badały i operowały pod kobiecymi sukniemi i kołdrami, że przez następne sto pięćdziesiąt lat nawet nie pomyśleli o zerknięciu pod przykrycia. Nie chcieli bowiem, na litość boską, wzbudzać w opinii publicznej jakichkolwiek podejrzeń co do intencji swojego z takim trudem uprawomocnionego rzemiosła.

Wprowadzili metodę badania, której Francuzi nadali nazwę *toucher*. Zgodnie z nią kobieta była badana na stojąco, w ubraniu, „pośladkami oparta o stół, z rękami złożonymi przed sobą i nogami lekko rozkraczonymi pod sukniemi”. Lekarzowi wolno było „lekko unieść suknię lewą ręką i wprowadzić naoliwiony palec wskazujący prawej do pochwy, i to od jej tylnej strony, aby nie budzić nieprzyjemnych wrażeń w łechtaczce”.

To, co na temat zmian wewnętrznych organów płciowych dało się ustalić za pomocą poruszającego się po omacku palca, nie miało znaczenia, ba, często było wręcz mylące. Później zezwolono kłaść lewą dłoń na odzianym brzuchu niewiasty i dokładniej „dotykać” macicy między nią a palcem w pochwie. Później wprowadzano palec do odbytu, aby stamtąd obmacywać macicę.

Ponieważ do ostatniego trzydziestolecia XIX wieku nie wiedziano nic o infekcjach i bakteriach oraz nie znano ani pojęcia sterylności, ani gumowych rękawiczek, pierwsi ginekolodzy przenosili najzłośliwsze zarazki z jednego otworu do drugiego. Rzadko się myli, a przy pracy znów szybko się brudzili. Nie da się oszacować, ile kobiet wpędzili do grobu, zamiast im pomóc. Podnieśli jednak metodę *toucher* do rangi reguły, prześladowając w swoich szeregach każdego, kto się z niej wyłamywał, aby dowiedzieć się czegoś więcej o niewieściej tajemnicy.

Pierwsze kłopoty sprawił im niejaki William Smellie, lekarz i położnik ze wsi Lanark w Szkocji, który, żądny wiedzy, przybył w 1739 roku do Londynu. Kiedy dwadzieścia lat później, wyczerpany walką z akuszerkami i kolegami po fachu, powrócił do swojej rodzinnej wioski, aby dokonać w niej

żywota, wiedział o kobiecym ciele i porodzie rzeczy, o których nikt inny nie miał pojęcia. Pokazał między innymi, że wykonując kilka manewrów kleszczami porodowymi, można wyciągnąć również dzieci, które odwracają się do świata zewnętrznego pupą, blokując w ten sposób drogi rodne. Było jednak jasne, że takiej wiedzy nie da się osiąść, operując jedynie palcem wskazującym pod przykryciem.

Będąc biednym nowicjuszem, Smellie ćwiczył w Londynie najpierw na lalkach (naturalnej wielkości), które budował z drewna, kości, materiału i mydła. Manekiny miały wargi sromowe, pochwy i szyjki macicy ze skóry, rozszerzające się jak podczas prawdziwego porodu. W miednicy, między pęcherzem a trzewiami ze spreparowanych jelit zwierzęcych, mieściła się macica – elastyczny skórzany wór, wypełniony czerwonym piwem, który, w zależności od stadium porodu, można było opróżniać przez pochwę. Znajdowała się w nim lalka z ruchomymi członkami i elastyczną główką.

Smellie nauczył się na lalkach tyle, ile mógł, a w 1741 roku wywiesił przed drzwiami swojego mieszkania przy Pall Mall papierową latarnię z napisem: „Lekcje położnictwa za pięć szylingów”.

Szybko zdał sobie sprawę, że to, czego chciał się dowiedzieć, można było przestudiować jedynie na żywych kobietach i z otwartymi oczami. I tak w 1742 roku wpadł na pomysł dotarcia do środowiska robotnic dniówkowych i żebraczek z powodu biedy wyzbytych wszelkich skrupułów moralnych. Rozdawał broszury, w których proponował, że wraz ze swoimi „studentami” odwiedzi dzielnice zamieszkałe przez panie pozbawione środków do życia, darmowo odbierze poród, a ponadto da im pieniądze na czarną godzinę.

Najwyraźniej dużo było kobiet, które wolały zachować się niemoralnie i skorzystać z pomocy położnika niż umrzeć jako kryształowo czyste. Już wkrótce Smellie przemierzał slumsy, odziany w szeroki kitel z introligatorskiego płótna, pod którym – aby nie straszyć rodzących – ukrywał kleszcze porodowe. Często on i jego uczniowie musieli brać nogi za pas, ponieważ inni położnicy lub akuszerki wzywali straż miejską. Mimo przeciwności losu po kilku latach pojął, w jaki sposób przebiega poród, i zaczął o tym pisać. Wtedy jednak zaatakowali go parający się położnictwem koledzy.

Doktor John Blunt z Londynu oburzał się: „Ten parias pozwala [...] studentom badać kobiety. Następnie obnaża je, tak że wszyscy mogą widzieć przyjście dziecka na świat [...]. Mężowie powinni nadstawić uszu i wyobrazić sobie zgromadzony tłum młodzieńców, podczas gdy uświęcona część ciała wydana jest na pastwę ich pożądliwych spojrzeń”. Doktor William Sheffield wygarnął jeszcze bardziej pryncypialnie: „[...] to kryminalny sposób ograbiania kobiet ze wstydu i rozbudzania w młodych mężczyznach pożądania. Nasz stan nie może tolerować czegoś takiego, nie narażając się na pogardę całego świata”.

Nie udało im się jednak zniszczyć człowieka ze slumsów. Odebrawszy ponad tysiąc porodów, William Smellie spisał w trzech tomach swoje obserwacje położnicze, i to było już coś. Niestety, żaden lekarz nie poszedł za jego przykładem; także studenci Smelliego nie ryzykowali uprawiania położnictwa wbrew panującym zwyczajom.

Kiedy pojawili się kolejni rewolucjoniści, był już 1800 rok. Mieli zatem trochę łatwiej. W Europie, zwłaszcza w Niem-

zech i Austrii, niektórzy książęta kazali budować szpitale porodowe dla ubogich ciężarnych. Nie robili tego, naturalnie, z czystej potrzeby serca. Takie kliniki bowiem nadawały się także do „przyjmowania wysoko urodzonych dam”, które popełniały cudzołóstwo i potrzebowały miejsca, gdzie mogłyby „dyskretnie wydalić z siebie” potomstwo. I tak w 1792 roku powstał szpital porodowy w Getyndze, a Benjamin Osiander z lekarza wiejskiego w Jurze Szwabskiej został dyrektorem pięćdziesięciu pięciu sienników i „profesorem położnictwa”.

Osiander doskonale wypełniał swoje obowiązki wobec pragnących utrzymać swój stan w tajemnicy ciężarnych z wyższych sfer. Brzemienne kobiety były przyjmowane do szpitala tajnym wejściem. W dyrektorskim mieszkaniu miały do dyspozycji dwa pokoje. On sam odbierał poród, nie pytając o pochodzenie dzieci, i w zamian za odpowiednie zabezpieczenie załatwiał noworodkom przybrane matki.

Za to nikt nie mieszał się w jego sprawy związane ze szpitalem: Osiander, tak jak przed nim William Smellie, eksperymentował na manekinach i budował fantomy. Lecz lalki, którym Anglik pomagał przychodzić na świat, nie były dla niego wystarczająco naturalne. Zastępował je ciałkami martwo urodzonych dzieci, które miał w zwyczaju przechowywać w pomieszczeniu obok jadalni i kuchni. Pozbawiał je wnętrzości, napełniał małymi gąbkami oraz zaopatrywał w pępowinę i łóżysko ze skóry. Swoje „dzieci” przechowywał w spirytusie i prezentował podczas lekcji poglądowych z manekinami.

Także Osiander doszedł do wniosku, że jedynym dobrym modelem może być żywa kobieta. Już wkrótce wszystkie po-

chodzące z biedoty niewiasty, które przyjmował do szpitala, traktował „niczym żywe fantomy, na których [...] dokonywano wszystkiego, czego można było dokonać z pożytkiem dla studiujących i akuszerok...”.

Jeden z jego następców, profesor Eduard Caspar von Siebold, wyjaśnił całą sprawę bez ogródek w 1860 roku w liście o wychowaniu studentów: „Przyjęta do szpitala musi pozwalać na wszystko. Kiedy jej się powie, aby stanęła na głowie, ona to uczyni z obawy, że w razie odmowy zostanie odesłana. Ale damy w praktyce prywatnej...”. Profesor zaklinał wszystkich swoich uczniów, aby poza murami szpitala nigdy nie rozbierali kobiet, a już w żadnym wypadku pań z wyższych warstw społecznych.

Czyli: szpitale dla biedoty nowym etapem rozwoju medycyny na boleśnie powolnej, usianej niepotrzebnymi ofiarami drogą do rozebrania kobiety u ginekologa.

Bądź co bądź Benjamin Osiander nauczył się władać kleszczami porodowymi jak nikt przed nim. Wpadł przy tym w tak morderczy zachwyt nad tym narzędziem, że z obawy przed naturalnym porodem wołał do studentów: „Szybko, szybko, bo wyjdzie samo...”. Jednak nawet jemu nie śniło się, że swoją prywatną praktykę przeniesie do szpitala publicznego.

Współczesnego mu Franza-Karla Nägelego, w latach 1810–1850 profesora położnictwa w Heidelbergu, także zżerała niezdrowa ciekawość. Zawodu uczył się od mistrza, który obrócenie dziecka w macicy pokazał mu na zwiniętej serwetce, i do pierwszego trudnego porodu wysłał go na wieś. Nowicjusz, rzecz jasna, nie radził sobie najlepiej, poszedł zatem za radą akuszerki: „Proszę złamać dziecku ramię. Poskładam

je i szybko się zrośnie”. Od tej pory i on wiedział, że fantomy i zrolowane serwetki nie zastąpią żywej kobiety.

Kwestię, jak dowiedzieć się więcej o grzesznych tajemnicach kobiety, Franz-Karl Nägele rozwiązał na swój sposób: angażował za kilka grajcarów damy do obmacywania (*Touchier-damen*, jak je nazywano po niemiecku) – biedne kobiety, które były gotowe nie tylko rodzić nago w obecności profesora i studentów, ale także pozwalały się badać nieokryte podczas całej ciąży. W ten sposób profesor wzbogacał swoją wiedzę o kobiecych miednicach i porodach, zyskując światową sławę. Jednak i jemu nie przyszło do głowy domagać się takich badań dla przyzwoitych mieszczek. Był dyplomata i mimo nikłego wzrostu i żółtawej cery kobieciarzem, który wpajał studentom, że kamieniem węgielnym sukcesu jest zabieganie o względy dobrze urodzonych dam. Za drzwiami szpitali porodowych dla biedoty wszystko pozostawało nadal tak jak za czasów pierwszych pelżających na czworakach męskich akuszerów.

Rankiem 27 stycznia 1859 roku pilnie wezwano Eduarda Martina, profesora i dyrektora szpitala porodowego przy Dorotheenstrasse w Berlinie, do pałacu następcy tronu. Medyk zastał tam osiemnastoletnią księżniczkę Vicky, córkę angielskiej królowej Wiktorii, rodzącą pod pierzyną podciągniętą po samą szyję. Już dziesiątą godzinę wiała się w boleściach.

Była kompletnie ubrana, tak że pot łał się z niej strugami. Nikomu, ani nadwornemu lekarzowi, doktorowi Wegnerowi, ani akuszerce Stahl, ani wysłanemu incognito do Berlina lekarzowi przybocznemu królowej Wiktorii, sir Jamesowi Clarkowi, ani profesorowi Martinowi nie przyszło nawet na myśl, aby podnieść choćby na wysokość ud wełnianą podom-

kę i długą, flanelową halkę księżniczki, która z krzykiem wyla się w daremnej męce.

Profesor Martin – przepelniony strachem, że podczas pierwszego dworskiego występu wydobędzie na świat martwe książątko – przeprowadził badanie zgodnie z przepisami, na ślepo i pod zwałami ubrań: dziecko znajdowało się w nieprawidłowej pozycji, pośladkami do przodu i z nogami uniesionymi aż do klatki piersiowej. Było zakleszczone w łonie matki. Bóle skurczowe zwężyły drogi rodne kobiety. Rozpaczliwa sytuacja. Mijała godzina za godziną, ale nikt się nie ważył rozebrać księżniczki. Wreszcie, około godziny trzeciej po południu, Martin wydobył spod ubrań pupę i nóżki, następnie ściągnął po kolei uniesione nad głowę rączki, które uniemożliwiłyby jej wyjście, a potem wyjął z ciemności dziecko – sine i niedające oznak życia. (Następca tronu Fryderyk dwa dni później do swojej teściowej: „[...] gdy ujrzałem doktora Martina pracującego z całych sił pod flanelową halką [...]”). Martin wraz z akuszerką byli później tak zajęci budzeniem księcia do życia za pomocą uderzeń mokrymi ręcznikami, że nie zauważyli bezwładnie zwisającej lewej rączki noworodka. Dopiero cztery dni później, 31 stycznia, mamka odkryła tę wadę i stało się jasne, że podczas czynności porodowych doszło do zmiążdżenia nerwu, co doprowadziło do nieuleczalnego urazu ręki. W atmosferze ścisłej tajemnicy, jaka otaczała kalectwo księcia i późniejszego cesarza Wilhelma II, mnożyły się skargi przeciwko niezdarności Martina, ale ani jedna nie była skierowana przeciwko sukniom, halkom i pierzynom księżniczki, które w znaczący sposób przyczyniły się do tak żałosnego zakończenia porodu.

Zdecydowanie większą odwagą wykazał się w tym samym czasie pewien Amerykanin, James P. White, profesor położnictwa w Buffalo. Stwierdził, że w jego klinice w ciągu zaledwie jednego roku dziewięćdziesiąt kobiet doznało urazu krocza i głębszych obrażeń „przez cholerny nonsens rodzenia w ubraniu”. I postanowił więcej nie brać w tym udziału. W dniu 18 stycznia 1850 roku położył na stole porodowym w swojej sali wykładowej, na oczach wszystkich studentów, Mary Watson, „rudowłosą, od stóp do głów pokrytą piegami Irlandkę” (dwadzieścia sześć lat, po raz drugi spodziewającą się nieślubnego dziecka i gotową za dziesięć dolarów popełnić każdy grzech). White nazwał swoje przedsięwzięcie „pierwszą kliniczną lekcją porodu na świecie” i celowo nie podejmował żadnych środków zaradczych, aby ukryć je przed opinią publiczną. Jego studenci mogli przez osiem godzin uczestniczyć w decydujących momentach porodu, mając przed sobą nagą Mary.

Na reakcję White nie musiał długo czekać. Jako pierwsi podnieśli bunt jego koledzy medycy. Spektakl rozpoczął doktor Horatio N. Loomis, „wierny zwolennik Kościoła i praw”. W „Commercial Advertiser” ukazał się jego tekst: „[...] zgraja nieletnich zaspokajała swoją nieposkromioną ciekawość. Pod pozorem naukowego poznania popełniono niegodziwość [...]”. Siedemnastu innych lekarzy z Buffalo stanęło w obronie swojego zawodu: „Ta praktyka nie ma nic wspólnego z naszym stanem [...] Mamy nadzieję, że ten czyn nie zostanie kiedykolwiek powtórzony ani w naszym, ani w żadnym innym cywilizowanym kraju”.

Zainteresowania europejskich położników koncentrowały się przede wszystkim na kanale rodzym i akcie narodzin.

Tymczasem amerykańscy chirurdzy odkryli nowe pole działania: również kobiety niebędące w ciąży cierpiały na niezliczone przypadłości – od bolesnych zaburzeń menstruacji po tajemnicze guzy. Trzeba przyznać Amerykanom jedno: zabrali się do badania tych dolegliwości bez uprzedzeń i stworzyli nowy dział medycyny, który od greckiego słowa „gyne” (kobieta) wziął nazwę „ginekologia”.

Robili rzeczy niewyobrażalne dla Europejczyków. Operowali przetoki pochwy, guzy jajników i mięśniaki. Tych zabiegów nie dało się przeprowadzić, nie rozbierając przy tym pacjentek.

Około 1850 roku zainaugurowano w jeszcze dziękuję Ameryce drugi, bardziej bezwzględny akt obnażania pań.

Zapoczątkował go w nieprawdopodobny sposób młody chirurg nazwiskiem Marion Sims. Jako syn bardzo biednej żony farmera i żołnierza nauczył się gardzić kobiecą nagością. W marnym Charleston Medical College, gdzie uczył się fachu, poprzysiął nigdy się nie zajmować chorobami kobiecego brzucha. Jak na ironię akurat on stał się pierwszym bohaterem ginekologii.

White wytoczył proces swoim przeciwnikom. Jednak sąd oddalił pozew. Sprawą zajęła się w końcu organizacja lekarska, American Medical Association. W roku 1851 wydała wyrok: obnażenie kobiety nie daje żadnych korzyści dla jej leczenia.

White nie dał się zastraszyć i na przekór wszystkiemu nadal prowadził swoją klinikę. Stała się ona wzorem dla późniejszych placówek. Tymczasem Europejczycy nadal leczyli tradycyjnie, zachowując daleko posuniętą ostrożność. Fantomy były dla nich tak samo cenne jak palec wskazujący, który nazywali okiem ginekologa.

Friedrich Ahlfeld, przezywany Papą, który do 1907 roku zajmował stanowisko profesora w klinice dla kobiet szpitala położniczego w Marburgu, wycinał ujścia macicy z surowych ziemniaków, aby studenci mogli na nich trenować swój służyący za oko palec.

Wprawdzie w 1884 roku berliński profesor Karl Schröder, następca Eduarda Martina (tego, który walczył z flanelowymi halkami księżniczki), odważył się umieścić w podręczniku o chorobach kobiecych narządów płciowych rozdział „Badanie wzrokiem”. Lecz decydujący bodziec do „obnażenia niewiasty w celach medycznych” wyszedł nie z Berlina i nie z Europy.

PIERWSZE ŚWIATOWE WYDANIE
NAJBARDZIEJ KONTROWERSYJNEJ KSIĄŻKI
JÜRGENA THORWALDA

Zanim ginekologia stała się tym, czym jest dziś, trwał horror.

Ginekolodzy, czy jak ich nazywano „damscy rzeźnicy”, prześcigali się, kto szybciej wytnie macicę, odbierze poród kleszczami czy usunie torbiel. Bywało, że pokazowe operacje i sprawne posługiwanie się skalpelem bardziej służyły sławie medyków niż zdrowiu pacjentek, które często kończyły na cmentarzu. Gdy pojawiali się lekarze chcący ulżyć pacjentkom, stawali się tematem kpin, tracili prawo wykonywania zawodu, trafiali przed sąd. Innych chciano wieszać. Konserwatyści wołali, że kobieta ma rodzić w bólu. I że badanie lekarskie powinno być przyzwoite, a lekarz ma nosić specjalną przepaskę na oczach.

Prekursorom nowoczesnej ginekologii nie było łatwo.

Jürgen Thorwald po raz pierwszy występuje przeciwko lekarzom.

**Nie szczędzi gorzkich słów tym, którzy nad zdrowie pacjentek przedkładał
nauki Kościoła, nierzadko stojące w sprzeczności nie tylko z medycyną,
ale i zdrowym rozsądkiem.**

Ale pisze głównie o tych, którzy jako pierwsi uśmierzali ból porodowy, leczyli przetoki i nowotwory, o tych, którzy zmniejszyli śmiertelność rodzących, wymyślili cesarskie cięcie i badanie cytologiczne, o tych, dzięki którym zwykłe badanie nie kończyło się powikłaniami i stanem zapalnym, oraz o tych, którym zawdzięczamy dziś całą gamę środków antykoncepcyjnych.

Thorwald przedstawia fascynującą opowieść o historii medycyny. Opisuje rozwój metod i narzędzi chirurgicznych niezbędnych do leczenia najbardziej intymnej części ciała kobiety. Niejednokrotnie przełamuje wstydlive tabu i odkrywa pilnie strzeżone tajemnice.

JÜRGEN THORWALD (1915–2006) – niemiecki pisarz, dziennikarz i historyk, szczególnie znany z książek opisujących historię medycyny sądowej i II wojny światowej. Autor takich bestsellerów jak *Stulecie chirurgów*, *Triumf chirurgów*, *Dawna medycyna, jej tajemnice i potęga*, *Stulecie detektywów*, *Godzina detektywów*, *Pacjenci* czy *Męska plaga*.

www.marginesy.com.pl



9

788365282255

cenę 44,90 zł

PATROWAT

